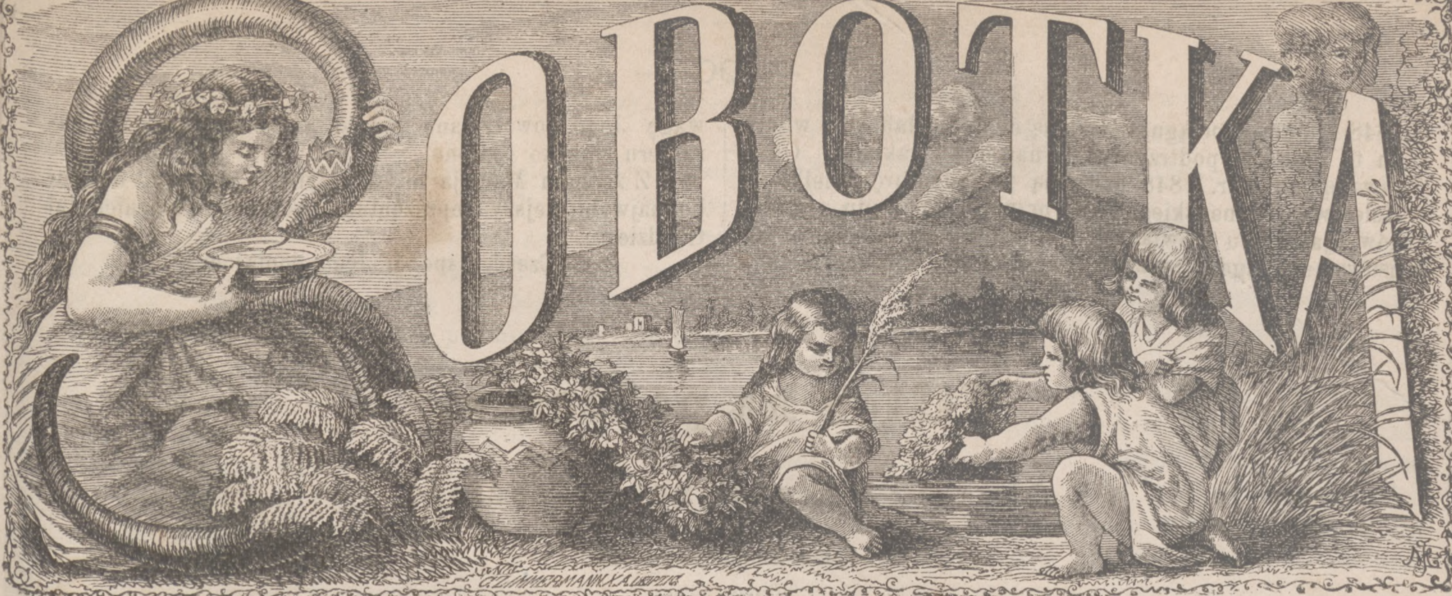


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

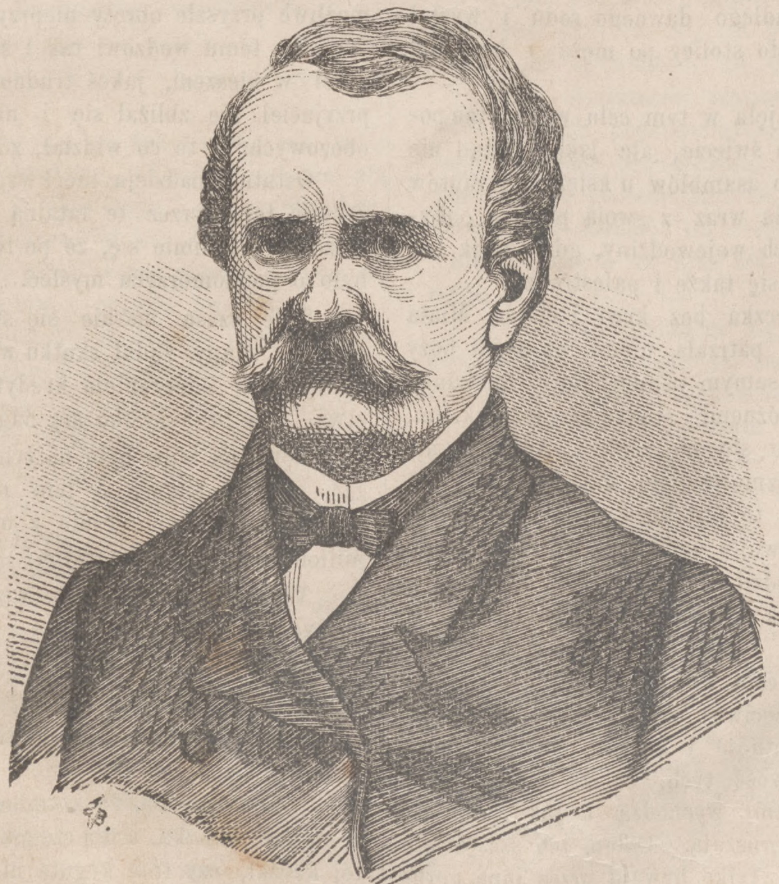
№ 12. Poznań, dnia 19 marca 1870. Rok II.

Maciej hrabia Mielżyński.

Ciężki cios dotknął Wielkopolską ziemię. Dnia 5 marca zgasł w majątku swoim w Kaźmierzu, w Kaliskiém, Maciéj hr. Mielżyński, ostatni z owego tryumwiratu, do którego należeli oprócz zmarłego, dr. Karól Marcinkowski i Gustaw Potworowski.

Komuż nie było znane głośne imię zmarłego, który całe życie od lat najmłodszych, aż do zgonu poświęcił na usługi ojczyznie, który zawsze jaśniał wzorem prawdziwego obywatela Polaka!

Maciéj hr. Mielżyński urodził się z ojca starosty Józefa i matki Franciszki z Niemojewskich, ciotecznéj siostry znanych posłów kaliskich. Młody Maciéj wychowany starannie wraz z dwoma braćmi swymi Ignacym i Sewerynem pod okiem pieczołowitéj matki, już w młodych latach pokazywał wielkie dla sprawy ojczystéj serce. W r. 1825 należał do spisku warszawskiego, za co był przez półtora blisko roku w fortecy toruńskiéj więziony. Więzienie to dzieliła z nim wzorowa żona. Rewolucya r. 1830 powołała do broni wszystkich trzech braci Mielżyńskich; Maciéj z Sewerynem wrócili szczęśliwie, podczas gdy Ignacy zginął bez śladu w potyczce pod Rajgrodem.


Maciéj hr. Mielżyński.

Po roku 1830 hrabia Maciéj nie tylko sercem kochający gorąco ojczyznę, ale i rozumem pojmujący dobre, czego przedewszystkiem politycznemi burzami skołatanemu krajowi potrzeba, dokładał wszelkich starań i poświęcał wiele z swego mienia, ażeby dźwigać upadłą sprawę powszechną, na drodze prac organicznych. Taki to cel wytknął sobie ów tryumwirat, który razem z hrabią Maciejem tworzyli Gustaw Potworowski i Karol Marcinkowski. Tychto mężów zachodom zawdzięczamy tak zbawienną w skutkach swoich instytucyą Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jak w ogóle obudzenie ducha narodowego.

Kiedy zaszły w Księstwie Poznańskiém katastrofy w r. 1846 i 1847. Hr. Maciéj, wypróbowany w szkole życia i widząc jasno nasze krytyczne położenie i brak sił materyalnych nie mógł już brać udziału w ówczesnych ruchach; jakkolwiek serce Jego nie było wcale zobojętniałe. Gdy r.

1848 minął i pociągnął za sobą ogólne osłabienie, wtedy on to głównie podtrzymywał narodowe zakłady. Ofiarowaną mu w r. 1848 naczelną prezydenturę Wielkiego Księstwa Poznańskiego nie przyjął z powodu warunków, jakie Mu stawiano. Od usług obywatelskich nie usuwał się nigdy, wszędzie brał czynny udział, na powagę Jego powoływano się z zaufaniem, energię charakteru wysoko ceniono.

Z zgonem Macieja hr. Mielżyńskiego zstąpił do grobu najwybitniejszy reprezentant generacyi ostatnich lat trzydziestu.

Cześć i spokój Jego popiołom!

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XXII.

Podczas gdy Hektor na murach Troi zwycięskie odnosił laury, syamski brat jego Achil gotował sie także do szturmu ale nie Troi tylko do innéj, nie bronionéj wcale fortecy.

Była nią blada, zwiędła blondynka, o mocno chudéj twarzy i czole pargaminowem. Ojciec jéj był dawniéj zawiadowcą majątku w ziemiach nadbohskich, księcia generała, a gdy książę generał za granicę wyjechał, zawiadowca na mocy jakiéjś prywatnéj umowy, stał się właścicielem. Właściciel dzisiejszy Ohrynia i Peczaty powierzył jedynaczkę swoją Anusię, któréj dla prywatnego użytku nadano drugie imie Adelaida, pewnéj matronie podupadłego dawnego rodu i wysłał obydwie na swój koszt do stolicy po męża i herb dla swego domu.

Usłużna matrona zajęła w tym celu wykwintne pomieszkanie przy Nowym świecie, ale jakoś dotąd nie mogła jeszcze dotrzeć do asamblów u księżnéj i rautów u marszałkowéj. Musiała wraz z swoją pupilą odbywać egzamen na salonach wojewodziny, gdzie obok koron hrabiowskich, snuli się także i palestranci.

Adelaida była laleczka bez krwi i ciała. Miała małe, głębokie oczki i patrzała niemi na świat boży zawsze z jednym i tym samym uśmiechem. Opiekunka jéj dodawała życia różnemi środkami lekarskiemi, ale to wszystko na nic się nie zdało. Adelaida nie była ani żywszą, ani rozmowniejszą, ani dowcipniejszą. Miała tylko jedną cnotę, to jest bezwarunkową uległość dla wysokiego rozumu swojéj opiekunki, która była dla niéj alfą i omegą. Chodziła jak ją ubrano, nosiła ręce w małdrzyk złożone jak kazano, uśmiechała się, gdy tego opiekunka żądała, i była zdolną z tym jednym uśmiechem przesiedzieć cały wieczór!

Był to wprost przeciwny okaz nowego świata od Aliny. Ta miała rzutność i energię nowych ludzi, tamta bierność i lękliwość tych, co ze swojéj sfery z niedostatecznemi siłami wychodzą i jak automaty w obcym żywiole się poruszają. Całem ich szczęściem jest, że nie są tu same, tylko bywają przez inne poruszane.

Opiekunka Adelaidy wybrała w duchu Podkomorzyca, z którym nowemu rodowi miał przybyć herb i lustr stary. Czyniła w tym względzie różne kroki, ale to wszystko jakoś marniało na szalonych zamysłach Podkomorzyca, który raz marzył o pannie marszałkowéj, a drugie raz zagalopował się nawet do księżniczki.

To było powodem, że różnych sygnałów dawanych ze strony opiekunki Adelaidy nie widział i nie słyszał. Ale szanowna matrona, która miała wielkie doświadczenia życia, tak sobie w głowę wbiła, że swego dokaże, iż postanowiła z prawdziwie kobiecą wytrwałością starać się o Podkomorzyca dla panny Adelaidy.

Dotąd jednak brakło jéj sposobności plany swoje rozwinąć, miała je jednak gotowe z wszelkiemi szczegółami, podobnie do dowódzcy wojsk austryackich, który dawnemi czasy wychodząc na wojnę, brał z Wiednia gotowe plany całéj kompanii, bez żadnego względu na możliwe przyszłe obroty nieprzyjaciela.

Jak temu wodzowi tak i szanownéj matronie z planami w kieszeni, jakoś trudno było zwycięstwo. Nieprzyjaciel nie zbliżał się i nie widział nawet znaków obozowych, a to co widział, zdawał się nie rozumieć...

Ostatnia nadzieja, możliwego przyszłego zwycięstwa, została teraz przez te fatalną nowinę o milionie zniszczoną. Rozumie się, że po téj nowinie nie można już było o podkomorzycu myśleć...

Tyle czasu marnie się straciło, ojciec Adalaidy, człowiek skąpy, żądał skutku wyłożonych pieniędzy, groził wreszcie odebraniem kredytywy i zwinięciem poselstwa — a tu wszystko się nagle urwało!

Potrzeba więc było natychmiast nową nić nawiązać, aby wiadomość o tem mogła przyjść nad Boh, przynajmniéj równocześnie z wiadomością o zaślubieniu miliona przez podkomorzyca!

W téj chwili właśnie wędrowały Achila oczy po apatycznéj twarzy blondynki — z jakiego powodu, trudno odgadnąć. Dojrzała to opiekunka, trąciła Adelaidę, aby się nieco ożywiła i rzekła do Achila.

— Pan podkomorzyc dzisiaj nader szczęśliwy i rozpromieniony!.. C'est drôl, jakto milion rozpromienia! Zdaje mi się, że szambelanowa od kilku miesięcy w stolicy mieszka, a dla czegoż szanowny kuzyn, pierwéj téj kaczki, czy tam koguta nie niósł za nią, tylko dopiero wtedy, gdy się fundamentalnie o milionie dowiedział! Adelaido, mówiła daléj trącając pupilkę, dziękuj Bogu, żeś nie słuchała propozycyi marszałkowéj...

Adelaida poruszyła się, aby żywiéj wyglądać. Achil spojrzał na nią, a potém zapytał.

— Nieprzyzwoicie być tak ciekawym... czy te propozycye tyczyły się pookomorzyca?

— Tak... i nie, odpowiedziała dyplomatycznie opiekunka savez-vous w takich razach trzeba być dyskretną. Co do Adelaidy, to widzisz pan. rzecz się tak ma, że ona jako jedynaczka, może liczyć na znaczny majątek.. dla tego niema się tak bardzo czego spieszyć. bo zawsze jest i będzie poszukiwaną. Ja tylko wypełniając ostatnią wolę nieboszczki matki jéj, któréj byłam przyjaciólką na pokojach księcia-generała.. zawsze jéj powiadam: demandez vôtre coeur, bo to najlepszy doradzca w takim przypadku... A zresztą czterykroć sto tysięcy, to ma także swój urok, chociaż nie jest jeszcze pełnym milionem!... Adelaide que dites-vous?

Adelaida uśmiechnęła się znowu i poruszyła na krześle, ale nic nie odpowiedziała.

— Czy pan znasz nadbohskie okolice? mówiła daléj gadatliwa opiekunka a warta żebyś pan kiedy tam przyjechał. Po drodze wstąpiłbyś pan do Peszaty, a ręczę za to, że byłbyś pan przyjęty... po staropolsku jak to dawniéj przyjmowano!

Achil z większym interesem spojrzał na bladą blondynkę. Teraz wydała mu się dosyć miła.. miała w twarzy coś podobieństwa do albiońskiéj piękności... Zamyślił się i powoli spuścił oczy w ziemię.

— Być może, odpowiedział po chwili, że w tamte strony kiedy zawitam, bo w tamtych okolicach mam nawet krewnych, których odwiedzić muszę... Czy dla pani nie jest nudną ta płaszczyzna nadbohska?

Pytanie to zwrócił Achil do Adelaidy. Adelaida i tym razem uśmiechnęła się tylko i nic nie odpowiedziała.

— O te płaszczyzny nie są tak nudne, jak sobie panowie w mieście wyobrażacie, odpowiedziała za nią opiekunka, stepy mają swoją poezyą... nie prawda Adelaido? Ten monotonny szum wiatru, który ciągnie jak fala po błoniu to mgła biała, która powoli odrywa się od łąk, ogrodów i buzanów... prawda Adelaido?

Adelaida ruszyła się znów na krześle i uśmiechnęła się. Achil myślał w téj chwili o czarnéj ziemi nadbohskiéj myślał, o czterech krociach — prawdopodobnie gotówki... spojrzał po raz trzeci na Adelaidę, a teraz wydała mu się nawet piękną! każda Angielka pozazdrościłaby jéj téj białości i tych na pozór apatycznych rysów twarzy...

— Może pan przyjdziesz jutro do nas na wieczorek en famille, rzekła opiekunka.

Achil przyrzekł i skłonił się, bo obaczył kogoś, z kim chciał słowo pomówić. Był to właśnie jakiś szlachcic ze stron nadbużnych. W drodze do tego szlachcica, złapał go podczaszyc za połę i zapytał:

— Cóż ty z tą martwą moseczką tak wiele rozmawiałeś?

— Panna Adelaida zyskuje bardzo wiele przy bliższem poznaniu! odpowiedział Achil.

XXIII.

Nie będziemy daléj opisywać skutków, jakie sprawiła w owém zgromadzeniu wieść o dwóch związkach, marchwi i milionie na poddaszu. Była to bomba, która niespodzianie wpadła, pękła i w pierwszym popłochu zupełnie inaczéj ugrupowała. Każdy chciał z tego rozbicia coś uratować, aby przynajmniéj z niczem nie zostać.

Nawet Kubaś z wstydliwą łysiną i Lesio z kilkoma rzadkiemi włosami należeli dzisiaj do szczęśliwych odłamków rozbitego okrętu, których czepili się nieszczęśliwe rozbitki, aby przynajmniéj jako tako do portu dopływać.

Kubaś pocił się ze swego szczęścia, rozmawiając z jakąś otyłą. trzydziestoletnią panienką, która patrząc złośliwie na podkomorzyca, wszystko mu przyobiecała, a flegmatyczny Lesio nie mógł tak prędko myśli swoich pozbierać, aby jako tako odpowiadać na wyzywające słowa i spojrzenia panny Agapity, któréj twarz rozlana paliła się jakimś gniewem szlachetnym!...

Był tylko jeden z naszych znajomych, który stał na uboczu i chciwem okiem na wszystko patrzał. Do nikogo się nie zbliżał, do nikogo nic nie mówił. Był to w téj chwili najzimniejszy spektator z całego zgromadzenia...

Zaraz przy pierwszych słowach o milionie, cofnął się podkomorzyc we framugę okna, aby być świadkiem wrażenia, jakie miało sprawić opowiadanie podkomorzyca. Przeczuwał, że ono sprawi pewne zamieszanie.

Najciekawszą dla niego figurą był w téj chwili sam opowiadający. Z jego zachowania się potrzeba było poznać, czy jest już bliskim tego miliona, czy też dopiero zmierza do niego. Było to nie lada psychologiczne zadanie, ale podczaszyc miał oko wprawne i wiele doświadczeń w życiu, aby nie poznał, czy kto jest kandydatem, czy aplikantem, czy wszedł już na etat.

Zbieg okoliczności dopomógł mu wiele. Przy ostatnich słowach podkomorzyca, widział zbliżającą się do niego spiesznie pewną damę, którą znał doskonale, widział jak go konwulsyjnie za rękę chwyciła, pod ramię wzięła i do osobnéj, na uboczu stojącéj kanapki zaprowadziła. Rzecz ta była dla niego teraz nadzwyczajnéj wagi.

Podczaszyc ulokował się jak mógł najwygodniéj, aby całą swoją uwagę téj zagadkowéj parze poświęcić. Sposób zejścia się i osiedlenia téj pary na odosobnionéj kanapie, dawał bardzo wiele do myślenia. Z wszystkiego sądząc, nie miała to być obojętna pogadanka, była to jakaś ważna, nader ważna sprawa. A sprawa ta mogła się również ważną stać dla podkomorzyca...

Zrazu przez niejakiś czas milczała para na kanapce. Zdawało się, że oboje zbierali myśli swoje i szukali słów, któremiby zacząć mogli mówić do siebie. Przynajmniéj tak wyglądała dama na kanapie. Podkomorzyc prawdopodobnie myślał o zakresie swojéj nowiny w salonie, i zdawało się, że był z tego zakresu zadowolony. Milion bowiem sprawił taki afekt, że mu kaczkę, marchew i cebulę zupełnie przebaczono. Czasami tylko mięszały mu to zadowolenie słowa szambelanowéj bez ogródki wypowiedzone, że jest biednym, i że świat podziwiać jeszcze może cały kubrak na jego grzbiecie... Podczaszyc nie spuscił z niego oka...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JÓZEFOWI IGNACEMU KRASZEWSKIEMU.



Wskrześmy stary obyczaj, dawno zarzucony
A poczciwy i piękny, więc godny wskrzeszenia!
Niegdyś po całéj Polsce znany i wielbiony
Przechodził z ducha ojców w młode pokolenia,
Budził zacne uczucia, roweselał serce,
Dawał pochop do czynów szlachetnych, jak owo
Prawym mężom należne, dzisiaj w poniewierce,
Czcią dla zasług natchnione wdzięcznych uczuć słowo,
Głoszone niegdyś z serca przy biesiadnych stołach
W cześć, komu należała, za zasługi w kraju,
I na ucztach publicznych i w przyjaźni kołach.
Święć się więc starodawny, polski obyczaju
Na ziemi Wielkopolan, w miłéj braci gronie
Skorém do przypomnienia serdecznéj pamięci
Zacnego pracownika na polskim zagonie,
Co dzisiaj, w dzień Józefa, imieniny święci.

Cześć Ci, nasz oblubieńcze, całéj Polsce znany,
Jak Twój patron, Maryi przydany za męża!
Nie jesteś jak on święty, Józefie kochany,
Lecz świętą pełnisz pracę, pracę, co zwycięża
Czcicieli bóstw pogańskich, faryzejskie plemię
Kłamców i obłudników, świętokradzców słowa,
Co gadem zalegają całą Polski ziemię,
Gdzie dotąd cierpi męki prawda Chrystusowa,
Codzień żółcią pojona, szyderstwem smagana
I we wieńcu cierniowym codzień krzyżowana.
Niechaj więc nigdy boleść Twéj piersi nie bodzie
Tarniami, jakie ciężka przynasza Ci praca,
Bo tyle już znalazłeś wdzięcznych serc w narodzie,
Że się Twoje cierpienie tą miłością spłaca
I posiew Twój duchowy potężnie się pleni;
Bo co z ducha poczęte, nie przepada marnie,
Lecz rośnie na pożytek całéj polskiéj ziemi
I plon taki do łona każdy chętnie garnie,
Boś Ty się ze wszystkimi swém sercem podzielił,
Boś Ty się w całą Polskę własnym duchem wcielił.

Ty swój naród nad wszystko ukochałeś biedny,
Dla téj miłości znosisz wygnania katusze,
I za to Ci złorzeczy tłum ludzi bezwiedny,
Że prawdę, gorzką prawdę miotasz w jego dusze,
Że świętą szerzysz wiarę w ciała zmartwychwstanie
Nieszczęsnego narodu, jeśli się poprawi,
I codzień pełną piersią podnosisz wołanie:
Jeno miłość a praca was i Polskę zbawi,
Bo z miłości moc ducha i siła pochodzi,
Bo praca nią natchniona plon zbawienia rodzi.
Niechaj więc Twoje pełne zacnych uczuć serce
Żywi ten święty ogień miłości i wiary!
Nieważaj na niewiernych i podłe oszczerce,
Dopełniaj swéj szlachetnéj dla kraju ofiary,
Rozrzucaj złote ziarna z wyżyn ducha rwane,
Z czego mu codzień nowe urasta cierpienie,
Bo one nam przynoszą plony pożądane:
Duchowi karm' wyborną, sercu pokrzepienie,
Za co Ci z Wielkopolski, Józefie jedyny,
Niesiemy cześć i wdzięczność na Twe imieniny.

H. Feldmanowski.

Łasica tchórz (Mustela patorius.)

(Z ryciną.)

Łasica tchórz należy do rodziny łasic, zwierząt ssących, drapieżnych nocnych, które z wyjątkiem Australii wszystkie części świata zamieszkują. Jakkolwiek wszystkie łasice wydają zapach nieprzyjemny, wydobywający się z dwóch, zwierzątkom tym właściwych gruczołków, tchórz jednakże, jak się z nazwiska jego domyślić można, przewyższa je w tym względzie i napełnia powietrze tak odrażającém pachnidłem, że je nie tylko ludziom, ale nawet zwierzętom znieść trudno. Tchórze są nader zręczne i zwinne, przytém bardzo ostrożne i krwi chciwe, dla tego tak bardzo dla zwierząt domowych niebezpieczne. Zamieszkują one opuszczone budynki i ruiny lub też wnętrze starych drzew spróchniałych. Odzież ich jest czarno-brunatna o tle żółtém, nogi i ogon są czarne, pysk i końce uszu białe. Futro tchórza jest dość używane, chociaż dla przykrego zapachu nie bardzo przyjemne. Natomiast inne łasice, jako to łasica tumak, soból i gronostaj dostarczają nam najcenniejszych futer, które płeć piękną zimą przed zimnem chronią. Ponieważ tchórze nie tylko zające i kuropatwy, ale i króliki, ptastwo domowe, jako też i jaja pożerają, przemyśliwał nie jeden z gospodarzy wiejskich, któremu one dały się we znaki, nad środkami służącemi do wytępienia tych szkódników, a tylko rzadko udało im się tchórza przytrzymać. Najlepszym ku temu środkiem są jaja, w które przez dziórkę od śpilki trucizny (strychniny) napuszczono, albo też łapki żelazne. Jak ostrożne, a przytém jak śmiałe są te zwierzątka pozna każdy z następnego opisu.

Pod koniec sierpnia, około godziny drugiéj w nocy

przebudził mnie przeraźliwy pisk królików, których schronienie znajdowało się w ogrodzie, o kilkanaście kroków od mego pokoju sypialnego. Pomimo że noc była jasna, nic jednak nadzwyczajnego przez okno dostrzedz nie mogłem. Ponieważ króliki niezadługo się uciszyły, położyłem się, chcąc się dopiero rano przekonać, co było przyczyną zaniepokojenia królików

Nazajutrz około godziny 7méj, pobiegłem do stajenki królików, z których żaden z poza ogrodzenia nie wyszedł, pomimo że zwykły one były o tym czasie dostawać pożywienie. Gdym podniósł wieko skrzyni, która była właściwém ich schronieniem, znalazłem w niéj trzy króliki zaduszone. Resztę królików znaleziono po długiém szukaniu w rozmaitych kryjowkach ogrodu, a za-



Łasica tchórz w pułapce.

ledwo je przyniesiono do stajenki, zaczęły drzeć z przestrachu, i starały się koniecznie z tejże wydobyć. Sądziłem, że przestrach ten wywoływał w nich odrażający zapach, który stajenkę ową zapełniał, a który mnie przekonywał, że przez dłuższy przeciąg czasu w téjże tchórz przebywał; gdy w tém spostrzegłem małe zwierzątko, barwy brunatnéj, wychylające głowę swą małą z ga-

neczka podziemnego, którą sobie były wykopały kroliki. Chłopcy moi, którzy z ciekawości byli poszli ze mną, zarzucili w mgnieniu oka otwór do owego podziemnego ganku cegłami i kamieniami, ażeby zwierzątko owo z niego nie mogło się wydostać. Przez otwór do połowy zasklepiony mignęło się coś do wąsionki podobnego. W téj saméj chwili uchwyciłem przedmiot ten

lewą ręką, a prawą drzwi za sobą zamknąłem. Dopiepiero teraz poczułem, że przedmiot schwycony, był to ogon owego małego zwierzątka, które silnie rękę moją w głąb nory ciągnęło. Obwinąwszy około ręki ogon schwyconego tchórza, schwyciłem go drugą ręką tak, aby mnie ugryść nie mógł, czułem bowiem po jego poruszeniach, że wszelkiemi siłami stara się ukąsić rękę, która go tak niespodzianie przytrzymała. Zadowolniony, że mi się udało owego tchórza tak uchwycić, że mnie ukąsić nie mógł, kazałem drzwi stajenki otworzyć i powróz przynieść. Obwiązawszy tenże przy pomocy mych chłopców około brzucha tchórza, podobnie jak się małpy wiążą, kazałem wszystkim wyjść i drzwi znowu zamknąć, chcąc z mą zdobyczą sam w stajni pozostać. Zaledwo kilkanaście łokci długi powróz popuściłem, wyskakuje tchórz znacznéj wielkości, przypatruje mi się, mierząc mnie od stóp do głowy, jakoby chciał siłę swego przeciwnika wybadać, cofa się niemiły i przeraźliwy pisk wydając, kurczy się i zwija, jakoby z przestrachu a potem jednym susem skacze mi na piersi. W mgnieniu oka schwyciłem go i rzuciłem na ziemię. Za chwilę przybiera on znowu postawę do zaczepki gotową, a w pysku jego wiszą jeszcze szczątki poszarpanéj méj koszuli. Widząc że drugi napad na mnie wykonać zamyśla, uderzyłem go w czasie kiedy ku mnie skoczył, tak silnie nogą w gardziel że się przewrócił, ostre swe pazury jednak zagłębił w mém odzieniu, a kły swoje w nogę moją zapuścił. Chcąc nogę z tego czułego objęcia wydobyć, nadepnąłem drugą nogą na jego głowę i wyswobodziłem ją w ten sposób, lecz tylko na chwilę, gdyż po małym przestanku powtórzył on cztery razy ten napad, przenikliwy przytém pisk wydając, i pokaleczył mi nogę w kilku miejscach. Mógłem go był wprawdzie kijem, lub jakimkolwiek innym w stajni owéj znajdującym się przedmiotem zabić, lecz tego nie uczyniłem, chcąc go zachować żywego do dalszych badań, sposobu życia i charakteru jego. Aby się jednak od dalszych gorących, a bolesnych pocałunków jego pyszczka uchronić, schwyciłem powróz, ktorym go jeszcze w owym podziemnym ganku był przewiązał tak krótko, że ziemi nie dotykał; przytém rękę wyciągnąłem, ażeby mi w twarz nie skoczył. Zawieszony przeto w powietrzu bujał, najdziwaczniejsze robiąc poruszenia, a nie mogąc przegryźć powroza, ze złości własne kaleczył nogi. Napatrzywszy się na te ćwiczenia gimnastyczne, pobiegłem do mego pomieszkania i wsadziłem go w niewielką żelazną skrzynkę. Nie mając odpowiedniego dla niego schronienia, chciałem go do żelaznego łańcuszka przywiązać. W tym celu zrobiłem sidło z drutu miedzianego, ażeby mu je na szyję zarzucić; poczém otworzyłem ostrożnie ową skrzynkę, w któréj leżał spokojnie tchórz w kłębek zwinięty, jak gdyby zasnąć zamyślał. Zaledwo mnie zoczył, wyskoczył, głośny pisk wydając ze swego więzienia, i usiłował pokilkakrotnie rzucić się na osoby, które się w pokoju znajdowały. Za chwilę szczęśliwie mu owo sidło druciane na szyję zarzuciłem, za pomocą którego udało mi się na szyję jego założyć z drutu miedzianego, dość silną obrożę, do któréj łańcuszek przymocowany do owéj żelaznéj skrzynki przyczepiłem. W ten sposób przykuty, chował się w kąciku téjże skrzynki, zwijał się jakoby do spoczynku i leżał spokojnie; skoro się jednakże ktośkolwiek do niego przybliżył, skomląc wyskakiwał, a nie mogąc rzucić się na tego, który śmiał do jego więzienia zajrzeć, z powodu, że łańcuszek jego był bardzo krótki, warcząc pokazywał białe swe ząbki i spokojnie wracał do przeznaczonego mu schronienia. Po obiedzie zaniósłem go wraz z ową żelazną skrzyneczką do ogrodu, chcąc tutaj śledzić jego postawę i poruszenia. Przedniemi łapkami poruszał on z pewną gracyą, na tylnych zaś niedbale się opierał. Patrząc nań, mimowolnie przychodziły mi na myśl wystudyowane ruchy niejednéj kokietki, która jużto z wielką elegancyą, już téż od niechcenia tylko się porusza, by przez to nie jednego wielbiciela przynęcić, pobawić się z nim, a potém jak cacko porzucić.

Ilekroć się ku niemu zbliżyłem, tyle razy chciał na mnie skoczyć, a wstrzymany przez łańcuszek, ze złości gryzł wszystko, co go otaczało. Nagle spostrzegam, że łańcuszek od obroży odczepiony leży przy nim, a tchórz uwolniony spokojnie patrzy na mnie. Pomyślałem o dubeltówce, i chociaż ostrożnie powstałem z mego miejsca, by pójść po nią, tchórz jednym susem wydobył się z swego więzienia, a potém nie zbyt szybkim krokiem poskoczył w ogród, a ztamtąd pobiegł na pole, unosząc ze sobą miedzianą obrożę na szyi.

Króliki tymczasem w stajence swojéj spokojnie siedziały, nie usiłując bynajmniéj jak dnia poprzedniego z tejże się do ogrodu wydobyć. W nocy jednakże kwik przeraźliwy królików budzi mnie, biegnę natychmiast z laterną do stajni, widzę przestraszone i rozpierzchnięte króliki, a w skrzyni ich spostrzegam błyszczące oczy tchórza, który w téj saméj chwili przez ganek podziemny uszedł. Sądziłem, że to zacna połowica mego zbiega, która tu przybyła odszukać straconego małżonka. Niepomny, że ona mniéj może z ciekawości, jak z czułości ku swemu lubemu tutaj przybyła, kazałem założyć przy każdym otworze, prowadzącym do podziemnego ganeczka, nadto w kilku innych miejscach, a mianowicie w skrzyni dobrze ukryte łapki żelazne. Przez trzy noce nawiedzał tchórz ten moją stajenkę, o czém niespokojny pisk królików mnie przekonywał, a przytém sam go nad ranem widziałem uchodzącego spokojnie, jakoby mi jeszcze urągał. Piątéj dopiero nocy, wielki kwik i łoskot zarazem przebudził mnie, a kiedy pobiegłem do stajni, znalazłem w niéj tchórza, który prawą przednią nóżką w żelaznych kleszczach łapki zawisnął. Skoro mnie spostrzegł, chciał uciec gankiem podziemnym, a ponieważ z tych czułych, żelaznych objęć wydobyć się nie mógł, usiłował rzucić się na mnie, lecz i to mu się nie udało. Kiedym go wyciągał z pomocą łańcuszka z kleszczy, które wraz z nieszczęśliwym jeńcem na obok stojącéj rycinie są odrysowane, przegryzł, nie mogąc mnie ukąsić, ze złości i rozpaczy własną swą nogę powyżéj kostki, którą owe żelaza tak silnie objęły. Kiedym mu się bliżéj przypatrzył, spostrzegłem na szyi jego miedzianą obrączkę, co mnie przekonało, że to był ten sam tchórz, który mi przed kilku dniami był uciekł i który pomimo dopiero co przebytego niebezpieczeństwa, tak śmiało i zuchwale króliki moje odwiedzał.

A. F.

O zadaniu i korzyściach sceny w ogóle, a w szczególe sceny narodowéj.

Nie tu koniec zasług sceny; są ludzie, wyjątkowe w świecie zajmujący stanowisko, ludzie będący na czele narodów, stojący na najwyższym szczeblu społecznym, do jakiego człowiek dojść może; a tymi są monarchowie. Jeśli wielkie jest ich powołanie, to tem większa odpowiedzialność, tem większa potrzeba, aby odpowiadali przymiotami ducha i charakteru, obowiązkom na nich ciążącym. Ponieważ mają być przewodniemi gwiazdami wśród mglistego nie raz pochodu, powinni posiadać światło, którém jest prawda, powinni znać prawdę. Tymczasem, cóż rzadziéj dojdzie do uszu, do głowy i do serca monarchy, jak prawda, prawda naga, bezwzględna, wolna od pochlebstwa. Najczęściéj zdarza się, że monarchowie wychowani od dzieciństwa w odrę-

bnym świecie, otoczeni pochlebstwem, służalstwem, przyzwyczajeni do dogadzania wszystkim kaprysom i zachciankom, nie znają wcale rzeczywistego świata, życia nie znają człowieka, jego charakteru, potrzeb, praw i zadania, i dla tego nie rzadko widzimy na tronach, tyranów i niedołężnych ludzi. I tutaj zbawienny wpływ sceny czuć się daje; scena przedstawia nie tylko mocarzy, świat ich odrębny, lecz świat cały we wszystkich odmianach, ludzkość we wszystkich warstwach społecznych, życie we wszystkich odcieniach. Może też jedynie na scenie monarchowie widzą rzeczywistość poznają człowieka, słyszą prawdę. Dla tego scena nie powinna być pominiętą przy wychowaniu monarchy, czego naśladowania godny daje przykład Napoleon III. nakazując synowi swemu, dla dopełnienia edukacyi zwiedzać najlepsze sceny Paryża. Jak lekarz z pulsu chorego stan i symptomata choroby rozpoznaje tak, że monarcha z sceny zbadać może stan umysłów, objawy życia społecznego i politycznego u swoich poddanych.

Niech tylko się obudzi w ludziach nowe wyobrażenie, nowa idea, niech się zapali w ich sercu nowe uczucie, pragnienie, wnet ono na scenie się odbija, w niéj znajduje odgłos i poparcie; scena jest, jakoby echem zdań i sądów w świecie głoszonych, jest odbiciem opinii w narodzie, w ludzkości. Wielkie więc prawdy, które zmieniały i zmieniają postać świata, na scenie pierwsze dają znaki życia, jéj zawdzięczają nie raz swe rozpowszechnienie i uznanie, jako to idee wolności osobistéj, równouprawnienia, tolerancyi politycznéj i religijnéj, uczucia litości nad występnym i t. d.

To jest zadanie, to jest pole działania, to są owoce sceny w ogóle. sceny, jako instytucyi kosmopolitycznéj, sceny nie mającéj odrębnéj, narodowéj cechy. Takie ma zadanie większa część scen dzisiaj istniejących. Sceny narodowéj w całéj objętości tego pojęcia, żaden prawie naród europejski dotąd nie posiada. Posiadali takową w starożytności jedynie może Grecy w czasach swéj świetności, a była ona niezawodnie jedną z najgłówniejszych przyczyn ich duchowéj i politycznéj potęgi.

Scena narodowa wypełnia nasamprzód to samo zadanie, używa tych samych środków, przynosi te same korzyści, co scena wogóle; lecz obok tego ma jeszcze inny cel na oku, wywiera jeszcze inny wpływ. jest doskonalszą, potężniejszą, gdyż ścieśniając pole swego działania, skupiając promienie swe w jedno ognisko, jednem słowem pracując nad jednym głównie narodem, rozszerza, wzmaga, ułatwia skuteczność swych usiłowań.

Scena narodowa czerpie swe soki żywotne z ziemi, z narodu, z jego przeszłości, z jego dziejów; ona jest śpichlerzem, skarbnicą, do któréj naród składa, w któréj przechowuje swe wspomnienia, swe pamiątki, owoce wiekowego doświadczenia, spostrzeżeń okupionych często krwią swoją i cierpieniem; ona jest rodzajem muzeum duchowego, w którem znajdują się, jako pomniki narodowego ducha i charakteru, odrębne, wyłącznie jemu właściwe, skłonności, przywary, przymioty, w jego sercu najczęściéj się odzywające uczucia, w jego piersi najczęściéj zabijające namiętności. Scena narodowa to zwierciadło, w którém naród się przegląda, w którém widzi ujemne swe i dodatne strony.

Przed nim stoi wzór, który mu rzeźbiła religiz, filozofia i sztuka Wzór ten to jego ideał do którego ma dążyć. Człowiek, jak powiada Herder. w narodzie pracuje i dąży do tego, aby się stać człowiekiem, a w prawcy téj nad samym sobą, aby widzieć, jak daleko postąpił, gdzie ująć a gdzie dodać potrzeba, gdzie prostować i gładzić, przegląda się w tem zwierciadle, które winno być czyste i wierne.

Człowiek posiada prócz przymiotów i własności całemu społeczeństwu właściwych, cechy narodowe; on je mieć musi, gdyż chociaż pozornie się wynarodowi, zawsze w pewnym stopniu zatrzymuje. Któreż więc zwierciadło, aby użyć poprzedniego porównania, wierniejsze, które więc j dla niego ma wartości, czy to, w którem pewne tylko ogólne, własności jego się odbiją, czy to, w którem cały się przegląda, w którem siebie widzi, siebie Polaka, Francuza, a nie Niemca, Włocha i t. d.

Grecy pojęli tę wyższość, te wyłączne korzyści sceny narodowéj ze zwykłą sobie bystrością Oni mieli scenę narodową, która była węzłem ich łączącym, która stała na straży ich ducha narodowego, która była skarbnicą ich pamiątek, ich wielkich czynów; to też otaczali ją należną czcią, troskliwością i opieką. Scena ich była prawdziwą świątynią sztuki, powierzona pieczy kapłanów, była wiernem i czystem zwierciadłem ducha narodowego. Scena ich dotąd, to wysokie zadanie spełniała dopóki w grono jéj kapłanów nie wkradli się owi przekupnie bibilijni, handlujący kramarze. Odtąd już wszędzie scena smutne przechodziła koleje; często na niéj zabłysło wprawdzie światło, rozniecone wielkiemi geniuszami jak Mollièrem, Szekspirem, Schillerem, Goethem, lecz meteory te, przemijające tylko rzuciły światło. Zawisły one jak gwiazdy nad sceną; po ich spadnięciu znowu ciemność nastała. Dziś zadanie i zasługa sceny nie jest dobrze pojętą; artyści dramatyczni nieotoczeni tą czcią i uznaniem, jaka się trudnemu, a tak zaszczytnemu ich zawodowi należy. Rządy nie zapewniły scenie dotąd dostatecznéj opieki; nie nadały jéj stanowiska na równi z innemi instytucyami w państwie. Narody czują, że dobra narodowa scena, zbawienne owoce przynieść może, narody ją stworzą rychléj czy później... już jesteśmy na téj drodze! Naród nasz w tym kierunku pracować zaczyna. Bo też teatr dla nas może więcéj niż innym korzyści oddać, bo nam więcéj. niż innym potrzeba wspólnego ogniska, potrzeba przybytku, w którym moglibyśmy złożyć swe pamiątki, swą tradycyą, swe narodowe obyczaje i cnoty. W. S.

Odezwa w sprawie pisowni języka polskiego.

Literatura nasza klasyczna z czasów Stanisława Augusta posiada tę między innemi zasługę, że język nasz dzielnie wyrobiony i bogato wyposażony przez pisarzów złotéj epoki zygmuntowskiéj, ale następnie skażony złym smakiem, zwątlony upadkiem ducha, zepsuty przewagą wytwornéj łaciny, przywróciła do dawnéj czystości, jasności i narodowego hartu. Wydoskonalając mowę naszą we wszystkich jéj gałęziach, przysposobiła ona bogaty organ, w którym wzmagający się w najnowszym okresie i rozprzestrzeniający nowemi żywiołami duch narodowy znalazł od razu wszechstronną łatwość objawiania wszystkich swych skarbów, pochopów i natchnień. Nie za poślednią także zasługę poczytać jéj należy, że uzupełniając wszystkie warunki dojrzałego języka, ustaliła pisownią według jasnych i każdemu przystępnych prawideł. Może też pisownia nasza nigdy mniéj nie przedstawiała różnic, zboczeń i wątpliwości, jak właśnie w owéj chwili przełomu, w któréj literatura klasyczna ustąpić musiała romantycznéj przewodnictwo w kierunku ducha narodowego.

Atoli język żyjącego narodu nie może się nigdy stać skostniałym i nienaruszalnym kształtem. Czas, rozpowszechnienie oświaty, postęp nauk, przynosi zmiany, wykrywa niedokładności, nasuwa tysiące nowych potrzeb. Ożywiona literatura nasza świeżemi i niewyczerpanemi źródłami, w młodzieńczéj obfitości swojéj tworząc, mianowicie w poezyi, najrozliczniejsze kształty i rytmy, zapuszczając się w najdalszą przeszłość i docierając do saméj miazgi i pierwiastków, z których wyrosła i wykwitła narodowość nasza, zgoła czerpiąc ożyw-

czą swą siłę w podaniach ludowych, w wyrażeniach i zwrotach mowy święcie przez lud przechowanych, musiała z czasem napotkać wiele wątpliwości co do pisowni i stanąć w obec trudnego zadania jak odświeżyć rodzime właściwości naszéj mowy a nie obalić tych prawideł, którym stopniowe przeobrażanie się języka, najcelniejsze wzory piśmiennictwa, a wreszcie powszechne przyjęcie nadały moc i potwierdzenie. Wątpliwości te wywołały mnóstwo reformatorów. Są tacy, którzy pozostając wiernymi dotychczasowym prawidłom, uważają zwyczaj, usus, za jedynie bezpiecznego w tym przedmiocie przewodnika. Są inni, którzy dzisiejszą pisownię naszą usiłują zwrócić na dawne, już porzucone koleje, a nawet z gruntu ją przekształcić. I jedni i drudzy przysposobili już pole do rozstrzygnięcia jeśli nie wszystkich trudności, to przynajmniéj tych, które najnatarczywiéj dopominają się o rozwiązanie. Czas więc wielki, aby tę sprawę wszechstronnie rozważyć, poddać pod sąd ogółowi pewne prawidła i uzyskać dla nich zgodę powszechną, jeśli nie chcemy iżby zamięszanie zwiększało się coraz liczniejszemi i coraz daléj sięgającemi pomysłami.

Dzieło podobne daleko łacniejszém było dawniéj, kiedy ognisko oświaty znajdowało się w stolicy narodu, i kiedy wszystkie dzielnice ojczyzny mogły mieć głos w każdém patryotyczném przedsięwzięciu. Jakoż uznana przez wszystkich powaga warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk najmocniéj się przyczyniła przed pięćdziesięciu laty do ustanowienia takiéj pisowni, jakiéj się dotąd trzyma przeważna większość autorów i drukarń naszych. Dziś, lubo pozbawieni i takiego ogniska i takiéj powagi, posiadamy przecież stowarzyszenia naukowe i literackie w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu i na emigracyi, które w połączeniu mogłyby zastąpić ten ubytek i zająć się tak ważną dla naszego piśmiennictwa sprawą.

Zarząd poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk od dawna przemyśliwał na środkami, któreby najrychléj i najskuteczniéj zdołały cel pożądany osięgnąć. Znosił się więc z Towarzystwem Naukowém krakowskiém i z Towarzystwem Literackiém lwowskiém, a znalazłszy w obu tych gronach skwapliwą gotowość do udziału w pracy, zwłaszcza że Towarzystwo Naukowe krakowskie już od lat wielu zajmowało się tym przedmiotem i dawało pochop licznym w téj mierze rozprawom, postanowił silniéj i stanowczo poruszyć sprawę w bliższym zakresie swych wpływów, to jest w Poznańskiém, w Prusiech i na Ślązku.

Poczuwając się do obowiązku inicyatywy, Towarzystwo poznańskie Przyjaciół Nauk dobrze zarazem pojmuje, iż samo bez poparcia i udziału stojącéj po za niém powszechności, nie zdołałoby niczego w tak trudném zadaniu dokonać i wnioskom swoim ogólne przyjęcie zapewnić. Grono jego, uszczuplone zakazem rządowym, nie obejmuje profesorów i nauczycieli, to jest właśnie tych pracowników, których ten przedmiot najbliżéj dotyka i którzy do wyjaśnienia i rozwiązania sprawy najdzielniéj przyłożyć się mogą. Duch wreście czasu i postęp oświaty wymaga jak najrozleglejszego rozszerzenia podstawy przez powołanie do współudziału w podobném przedsięwzięciu wszystkich zasobów i zdolności, które w jakiéjkolwiek mierze są w stanie przyczynić się do pomyślnego skutku. Wnioski i uchwały znawców będą wtedy mogły najbezpieczniéj na powszechną zgodę liczyć, skoro znawcy ci wyborem jak najliczniejszego zgromadzenia do ich stanowienia powołanymi zostaną.

Wzywamy więc wszystkich, których sprawa języka narodowego obchodzi, a mianowicie szanowne duchowieństwo, profesorów, nauczycieli wyższych i niższych, autorów, redaktorów pism publicznych, wydawców, drukarzy, tak z W. Księstwa Poznańskiego, jak z Prus i ze Ślązka, aby się zechcieli jak najliczniéj zgromadzić na wstępną naradę w tym przedmiocie, którą poważamy się naznaczyć na dzień 22 kwietnia w piątek, w tutejszéj sali bazarowéj, o godzinie 4 z południa. Głównym celem tego zebrania będzie wybór komisyi. któraby się bliżéj rozpatrzyła we wnioskach i życzeniach, jakie objawionemi zostaną, całą rzecz gruntownie zbadała i obmyśliła najskuteczniejsze środki do rozwiązania poruczonego jéj zadania. Nie przesądzając jaki tryb postępowania w téj mierze podoba się przyjąć towarzystwom naukowym i literackim w Krakowie, we Lwowie i na emigracyi, obowiązkiem naszym będzie postarać się, aby te stowarzyszenia dały jednocześnie podobnymże komisyom początek. Ciężką boleścią przejęci, iż w Polsce pod rządem rosyjskim nie ma już żadnego koła, do którego moglibyśmy się odezwać w tym względzie, mamy przecież nadzieję, że pojedyńcze osoby, zwłaszcza te, które się tym przedmiotem zajmowały, pośpieszą z swoją radą i pomocą w przeprowadzeniu podjętego przez nas zamiaru. Skoro zaś te komisye zbadają rzecz należycie i do pewnych wniosków dojdą, będą mogły wybrać każda jednego delegowanego, a ztąd powstanie najwyższa instancya, przedstawiająca zbiorową powagę całego narodu, o ile tylko w dzisiejszych okolicznościach jest to możebném i posiadająca zatém prawo powzięcia stanowczych postanowień, które ogół uważać zapewnie zechce jako obowiązujące.

Licznem przybyciem na zgromadzenie, na które Was zapraszamy, nie tylko potwierdzicie, Rodacy, waszą gorącą miłość dla ojczystego języka, ale razem okażecie, żeśmy się nie pomylili mieszcząc sprawę tę na tak obszernéj podstawie i silnie przyczynicie się do powszechnego przyjęcia uchwał, które w połączeniu z przedstawicielami innych dzielnic naszéj ojczyzny, ogłosi grono znawców waszym wyborem do téj pracy powołanych.

Poznań, dnia 2 marca 1870.

Zarząd Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

ROZMAITOŚCI.

(Przymioty redaktora amerykańskiego.) Ekscentryczność amerykańska przechodzi już wprawdzie wszelkie granice, ale przy tém wszystkiém ma ona także stronę prawdziwie humorystyczną. Oto nowy przykład: Jeden z dzienników amerykańskich poszukuje dla siebie współpracownika następującym publicznem ogłoszeniem: „Poszukujemy męża silnéj budowy muszkularnéj, któryby się niczego nie lękał, a mianowicie nie wzdrygałby się zadawać i odbierać ciosy nożem. Przytem musiałby on sam postarać się o konia, rewolwery i nóż Bowiego.“ Taką kwalifikacyę ma posiadać redaktor amerykański; jakiemże być musi społeczeństwo tamtejsze? U nas Bogu dzięki nie przyszło jeszcze do tego, ale przecież przydałaby się bardzo — zimna krew naszym dziennikarzom.

Szarada.

Pierwsza z drugą od zabawy,
Do ruiny i niesławy
Człeku prostą drogą ściele.
Czwarty z trzecim, w ludzkim cielele,
Jaki wprawdzie, bywa wstrętny.
Wszystko wielki gród pamiętny,
Który niegdyś (nie dla rymu);
Wiele ważył w dziejach Rzymu.

Rozw. szar. w Nr. 11.: ***Praprapraprapraprawnuki.***

Korespondencya Redakcyi.

Panu W. S. J. Za życzliwe rady pańskie serdecznie dziękujemy. O ile program pisma pozwalał, zawsze staraliśmy się do nich stósować. Panu N. N. P. R. Alt-Boyen. Na anonimy nie mamy zwyczaju odpowiadać. Rękopism nie przez pana był nam udzielony. Zrobiliśmy z nim to cośmy uważali za stósowne. Panu W. S. w Ostrowie. Redakcya nie będzie łaskawa zamieścić w Sobótce wierszy Pańskich, gdyż przeciwnego od od Pana jest o nich zdania. Panu Danielowi Rob. w Wielkiéj Dąb. Serdecznie dziękujemy za jego przychylność. Do polecenia zastósowaliśmy się.

Redaktor odp.: Dr. Roman Szymański w Poznaniu. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra i Sp. (M. Leitgeber i St. Tułodziecki) w Poznaniu.